

- Kiedy mam ochotę.
- Wszyscy są zdenerwowani, wszyscy mają ochotę i jednocześnie wszyscy są trzeźwi.
- Boniek też jest trzeźwy?
- Też.
- No to nie dotrzymał słowa.
- Dlaczego?
- Bo powiedział, że „idzie do dechy”.

PARSZYWY LOT Z BRĄZOWYM MEDALEM

Być może Zbigniew Boniek rzeczywiście złożył taką właśnie obietnicę, ale może to być również li tylko wytworem fantazji autora „Nerwów i radości...”. Zwyczajne „chciejstwo”... Na lotnisku Barajas w Madrycie byłem również ja, a także większość polskich dziennikarzy wracających z Mundialu do kraju. Okoliczności poprzedzające powrót prawie każdego z nas zmusiły do wypicia kilku głębszych. Niewiele brakowało, a spotkał by nas taki sam los, jak piłkarzy Manchesteru United w końcu lat pięćdziesiątych. Najpierw lot z winy skacowanego przedstawiciela LOT-u opóźnił się o kilka godzin, potem długo nie było zezwolenia na start, wreszcie gdy samolot wystartował, zaczął się kołysać, krążył wokół lotniska, nie mógł się wzbić na wymaganą wysokość.

– Wobec awarii podwozia zmuszeni jesteśmy do lądowania – oznajmia kapitan Lewandowski.

Nasi piloci robią to doskonale, huragan braw nagradza ich wyczyn. Co teraz? Godziny uciekają, a my wciąż w poczekalni. Jest z nami przewodniczący GKKFiS, Marian Renke. Pociesza, co pewien czas wskakuje na wzniesienie w sali tranzytowej i przekazuje kolejne komunikaty. Sprawa robi się poważna, bo decyzji o po-

nownym starcie nie ma. Dopiero teraz nerwy grają na całego. Nikt nie potrafił ustać w jednym miejscu, cała ekipa popada w jakiś chocholi taniec. Podróżni z innych krajów patrzą na to ze zdziwieniem, a znużony przewodniczący Renke przemawia i przemawia. Był już wtedy, tak – jak nasz Janek Ciszewski, nieuleczalnie chory.

– Jest decyzja! – nagle się ożywia. – Z Warszawy przyleci po nas inny samolot – „Ił – 62”. To jednak trochę potrwa...

Złość ogarnia znaczną część ekipy. Czy nie można było od razu wsadzić nas do sprawnego samolotu? Szukaj teraz wiatru w polu – winnych nie ma! Co począć z tak dramatycznie rozpoczętym poniedziałkiem 12 lipca? To jakieś fatum, bo niedziela też była zła. Piłkarze nie oglądali meczu finałowego Włochy – Niemcy. Zabrakło dla nich biletów. To nie zły los, to kompromitacja! Srebrni medalisci finał Espana’82 oglądali gdzieś wysoko w górach, na mocno już sfatygowanym szklanym ekranie. Widoczność słaba, drgania, odbicia... To wczoraj, dziś skancerowany samolot. Można się załamać.

Dla mnie to nie nowość. Już kiedyś w drodze powrotnej z Irkucka całą noc na smakowaniu szampana spędziłem z piłkarzami Legii na lotnisku w Moskwie. Piętnaście lat później w Wiedniu w grupie obserwatorów PZPN wypiliśmy chyba całą beczkę piwa, a teraz w Madrycie przelewało się wino i hiszpańskie brandy. Znowu na frasunek dobry trunek... Pili więc wszyscy, zakąszali tylko niektórzy, więc ci z pustymi żołądkami mieli kłopoty z utrzymaniem równowagi. Ja ze Skórzewskim tymi nieco mocniejszymi trunkami zabijałem nudę głównie w towarzystwie Władysława Żmudy, Pawła Janasa i Zbigniewa Bońka. Po którejś z kolei flaszce w zupełnie dobrej formie przepiliśmy „brudzia”. Zdrowe głowy. Może dlatego Andrzej Makowiecki miał żal do Bońka, że „nie poszedł do dechy”. Tymczasem „łódzkiemu Hemingwayowi” urwał się film.

Na Okęciu wylądowaliśmy grubo po godzinie drugiej w nocy. Nadal obowiązywały rygory stanu wojennego, bez przepustki po godzinie 23.00 każdemu

obywatelowi groziło pudło. Ale Polak potrafi... Na lotnisku ludzi mnóstwo, cieszą się, gratulują, dodają otuchy. A przecież nikt ich tu siłą nie sprowadzał. Nie lubimy poniedziałków... Ten z 12 lipca 1982 roku dał się nam we znaki szczególnie. Dopiero radość wiernych kibiców osłodziła gorzkie przeżycia na trasie Madryt – Warszawa. Czekali na nasz powrót dwanaście godzin! Nie tylko na lotnisku. Podczas przejazdu z Okęcia do hotelu „Victoria” warszawiacy również towarzyszyli piłkarzom. Wyglądali z okien, wychodzili przed domy, zatrzymywali autokar, wiwatowali i śpiewali nieśmiertelne „Sto lat”.

Jakież to mogło być powitanie, gdyby Polacy zdobyli w Hiszpanii mistrzostwo świata. Taki właśnie temat na lotnisku Barajas w Madrycie podsunął mi Andrzej Szarmach:

– Gdyby tu, w Hiszpanii grała ta nasza drużyna z roku 1974, to zapewne dziś wracałaby do kraju z Pucharem Świata. Ale z tą obecną też było to możliwe...

– To znaczy?

– Wystarczyło, żeby w półfinałowym meczu z Włochami zagrał Zbyszek Boniek...

– ... albo Andrzej Szarmach – wtrąciłem. – I strzelał równie zaskakująco i celnie, jak w meczu o trzecie miejsce z Francją.

– Tak! – poparł kolegę Paweł Janas. – Brak Bońka, męczarnia w „Residencia Gispert” i te piekielne upały... To było nasze nieszczęście!...

Racje Szarmacha i Janasa niezupełnie mnie przekonały. Wyłożyłem więc swoją opinię na lamach „Piłki Nożnej”:

...Zaczynaliśmy z niskiego pułapu, potem przyszło odrodzenie w meczu z Peru, wreszcie prawdziwa eksplozja możliwości i formy Bońka w porywającym pojedynku z Belgią. Pełna stabilizacja w spotkaniu z ZSRR i powolne opadanie z sił właśnie w meczach z Włochami w Barcelonie i z Francją o medal w Alicante. Ale tu znowu przyszła refleksja: – Co by to było, gdyby każdy z naszych

piłkarzy przyleciał na Mundial w życiowej formie? Czy wówczas pozycja „biało-czerwonych” mogła by być jeszcze wyższa?

Przy szczęśliwym zbiegu okoliczności wszystko się może zdarzyć. Jednak Włosi byli w tym turnieju lepsi. Zresztą, podobne pytanie jak Polacy, z równym powodzeniem mogliby postawić sympatycy: Brazylii, Argentyny, a także Francji, Anglii i Jugosławii, nawet ZSRR. Nasz zespół był wówczas jeszcze bardzo młody. Na dobrą sprawę tylko rewelacyjny Józef Młynarczyk, doświadczony Władysław Żmuda i ich rówieśnik Paweł Janas byli u szczytu sławy. Dla pozostałych ten czas dopiero się zbliżał. Można więc było pomarzyć o takiej drużynie, tak dobrze poukładanej, tak walecznej i tak mądrej, jak ta z pojedynków z Peru, Belgią, ZSRR i Francją. Taką stworzyć – to zadanie dla nowego selekcjonera.

Czytelnikom „Piłki Nożnej” odpowiedziałem na jeszcze jedno pytanie: – **Jaki to był Mundial?** Każdy kibic miał w tej materii własne zdanie, ale ”zeznanie świadka koronnego” zapewne ułatwiły obiektywne spojrzenie. **Po pierwsze**, były to mistrzostwa, w których po raz pierwszy wystąpiły aż 24 reprezentacje. Pod względem promocji światowego piłkarstwa formuła ta zdała egzamin. Mundial obejrzało prawie dwa miliardy widzów ze wszystkich kontynentów. **Po drugie**, futbol to nie jest sprawa dla garstki hobbystów, to jest problem całych społeczeństw. Hiszpania, jej rząd dobrze to rozumie. Pomogli piłkarzom. Piłem tu do naszych decydentów. W Polsce nie ma takich stadionów, jak Camp Nou w Barcelonie, Santiago Bernabeu w Madrycie, Riazor w La Corunii lub Balaidos w Vigo.

Po trzecie, pod względem sportowym nie miał ten Mundial takich cech przełomowych jak na przykład mistrzostwa w roku 1958 w Szwecji (tam narodziła się „brasiliana”), w 1966 w Anglii, gdzie zaczęto torować drogę wszechstronności i uniwersalizmowi, co z kolei w 1974 doprowadziło do „gry totalnej”. W Hiszpanii w sposób tak wyraźny nic takiego nie nastąpiło. Odżyły tylko sta-

re prawdy. Starano się zachować właściwe proporcje między obroną i atakiem. Najbliższe tych kanonów były zespoły: Włoch, Polski, Francji, Anglii, Jugosławii i w pewnym stopniu RFN. Brazylia beztrąsko upajała się tylko atakiem. Padła powalona przez własną lekkomyślność.

Po czwarte, zostały zatarte pewne granice. Co to znaczy? Jak to rozumieć? Futbol powoli zaczyna być grą bardziej otwartą i dostępną dla wszystkich krajów naszego globu. Ale nawet Kamerun, Honduras, Kuwejt i Salwador, zachowując pewne własne cechy narodowe, w charakterze ogólnym starały się zbliżyć do stylu czołowych nacji europejskich i południowoamerykańskich. Niemalą zasługę w tym „łamaniu granic” mają trenerzy FIFA i prezydent Joao Havelange. Nie wszędzie jednak piłkę kopie się tak samo i na jedną modłę. W każdym systemie, szkole gry, strategii i taktyce dość wyraźnie rzucają się w oczy cechy narodowe: odmienność temperamentu, skala wyobraźni i wrażliwości na piękno, reakcja na nowinki techniczno-taktyczne, możliwości i... upodobania widzów.

Po piąte, wyszkolenie techniczne wciąż jest w futbolu najważniejsze. Jednak przykład Brazylii wymaga nieco głębszej refleksji. W sztuce panowania nad piłką podopieczni Tele Santany nie mieli sobie równych. Byli świadomi swej wyższości nad rywalami. I to ich zgubiło. Często zapominali, że o powodzeniu w piłce nożnej decydują również inne wartości, że gra toczy się do dwóch bramek i że nie jest (nie może być) „sztuką dla sztuki”. Mistrzostwo techniczne musi iść w parze z rozumną taktyką, dobrym przygotowaniem fizycznym i psychicznym, wolą walki. Najwięcej tych atutów zaprezentowali Włosi właśnie w meczu z Brazylią i Niemcy w spotkaniu z Francją. Pokonani byli lepsi technicznie, ale w finale grali Włosi z Niemcami. Brazylia jest w stanie dać światowemu futbolowi dużo więcej, wszakże pod warunkiem, że bajeczną technikę wzbogaci innymi równie ważnymi pierwiastkami.

Po szóste, dlaczego przegrała Argentyna, choć miała w swoich szeregach Diego Maradonę? Z tego samego powodu, z jakiego w roku 1970 Anglia nie obroniła tytułu w Meksyku, a w 1978 Niemcy w Argentynie. Aby zostać mistrzem świata trzeba rywali czymś zaskoczyć. Właśnie Włosi, ów w przeszłości bastion antyfutbolu, w drugiej rundzie zaskoczyli rywali odwagą, konsekwencją w natarciu i bramkostrzelnością. Argentyna grała po staremu. A Maradona w przeciwieństwie do Paula Rossi'ego był w swoich poczynaniach osamotniony.

Po siódme, gdzie jeszcze tkwią w piłkarstwie rezerwy? Różnie to bywa na różnych kontynentach. Europie na przykład, a w niej nawet Niemcom i Anglikom, przydałaby się „brazylijska” technika, a reprezentacjom niemal wszystkich części świata, głównie tym z Afryki – taktyka i kondycja czołowych drużyn z Europy. Piłka nożna jest grą zespołową, tu tkwią jej największe wartości, ale bez wybitnych indywidualności jej jakość nie jest najwyższa. Trzeba więc pielęgnować talenty. Gwiazdy muszą jednak świecić nie tyle dla własnego rozgłosu i sławy, ile dla potrzeb całej drużyny. W dotychczasowej historii mistrzostw świata najwięcej takich cech reprezentował Pele – już sporo w 1958 roku w Szwecji i bardzo dużo na Mundialu 1970 w Meksyku.

Teoretycznie trzecie miejsce piłkarzy na świecie powinno nas zadowolić. Tak jednak nie było. Kibicom marzyło się mistrzostwo świata. Akcentując głównie stronę czysto sportową, stwierdziłem wówczas, że byłby to sukces ponad nasze możliwości. Czy łatwo dostrzegalne niedostatki w wyszkoleniu mogłaby zrównoważyć lepsza organizacja, bo tu rzeczywiście kłopsów było ponad przyzwoitą miarę? Kierownictwo ekipy uznało, że końcowy wynik świadczy o „dobrej robocie całej ekipy na wszystkich odcinkach”. Zupełnie inaczej widziała to znaczna część dziennikarzy i... piłkarzy. Na Espana'82 w naszej ekipie nie było sielanki. To prawda, co zresztą w miarę szczegółowo opisałem to także w tej książce, a zaraz po mistrzostwach zasygnalizowałem w „**Tajemnicach Mundialu**”.

❧ CZEŚĆ IV ❧

**TRUDNA DROGA
POWROTU**

Mundial po polsku

Wigilia w Pireusie

Święty Mikołaj ze Stavanger

Służby specjalne w „Ukrytej Zatoce”

Taniec niedźwiedzia z Fredem Astairem

Puchar Świata dla Młynarczyka

Kabaret w teatrze „Buffo”

Na nowojorskim bruku

Juniorzy mistrzem Europy

Rozpacz Kuleszy i... sądy kapturowe

Legia i Widzew w Lidze Mistrzów

Dramat Górskiego

Wojna UKFiT-u z PZPN-em

Engel na „tak” i „nie”

Każdy medal ma dwie strony. Tę lepszą na Espana '82 media pokazywały natychmiast, ale tę gorszą już z dość dużym opóźnieniem. Niedociągnięć było sporo. Pierwsi milczenie w tej sprawie przerwali Piotr Mowlik w „Przeglądzie Sportowym”, Stefan Majewski w „Piłce Nożnej”, Janusz Kupcewicz w prasie Wybrzeża i Zbigniew Boniek w „Przekroju”. PZPN uznał to za insynuacje. Odpierał zarzuty na kadłubowej konferencji prasowej dostępnej tylko dla wybranych. Manipulacją pachniało na kilometr. Do dyskusji w TVP nie zaproszono specjalnych wysłanników na Mundial z „Przeglądu Sportowego”, „Sportu” Katowice, „Piłki Nożnej” i „Sportowca”. Na względy i „łaskę” PZPN oraz telewizji zasłużył tylko redaktor Jan Frandorfert z Krakowa; dziewięciu pozostałym zamknięto usta. Ze szklanego ekranu przekazano społeczeństwu jednostronny i fałszywy obraz wydarzeń.

Frandorfert trzymał stronę PZPN, dla niego w Hiszpanii wszystko było na medal. Całe nasze środowisko po tym dziwnym „występie” Janka w TVP skrytykowało go za lizusostwo i wazeliniarstwo wobec Związku i jego prezesa. Opinia ta spłynęła jednak po działaczach z centrali, jak woda po tłustej kacze. Z góry przygotowano pokrętną odpowiedź: – **„Wszystkiemu winni organizatorzy Mundialu!”** Boże, słyszysz i nie grzmisz?! Przecież nie Hiszpanie ponoszą winę za polskie grzechy: stan wojenny i wyjazd na Mundial bez odpowiedniego przygotowania, „rezydencję” bez sauny i klimatyzacji, brak boisk do treningu, biletów na mecz finałowy i dramatyczny powrót do kraju. Medal i trzecie miejsce na świecie nie były w stanie przesłonić naszych kardynalnych błędów organizacyjnych. Piłkarze zrobili to, co do nich należało, kierownictwo ekipy niestety – nie! Stanowczo za dużo było w niej „wolnych słuchaczy”.

„Kto i ile zarobił na tych mistrzostwach!?”... Przez całe dziesięciolecia unikano podobnych tematów. Obłudnie udawano przed światem czystych amatorów. Najwięcej na Mundialu oficjalnie zyskał PZPN; FIFA przekazała do Polski do-

kładnie jeden milion trzysta czterdzieści osiem tysięcy czterysta dziesięć dolarów (1.348,410). Czy jednak cała ta suma wpłynęła do kasy Związku? O swoje prawa, w podobnych sytuacjach, z reguły dopominał się GKkFiS i COS. A jak wynagrodzono piłkarzy? Znacznie lepiej niż za podobne osiągnięcie w 1974 roku. Zbigniew Boniek w wywiadzie dla „Przekroju” powiedział: *„Otrzymałem 7000 dolarów i 200.000 złotych”*. Pozostali gracze też nie narzekali. Służba medyczna i szeregowi członkowie kierownictwa na podstawie porozumienia PZPN z GKkFiS pobierali tylko „dziadowskie” kieszonkowe w wysokości trzech dolarów dziennie. Mówiono po kątach, że jedynie prezes PZPN otrzymywał wysokie diety z puli FIFA, a zapracowany doktor Janusz Garlicki był finansowo wspierany przez niektórych zawodników.

Wybuchła kolejna bomba: – PIECHNICZEK ODCHODZI! Po takim sukcesie? To totalna bzdura! Antek sam zrezygnował czy ktoś „przychylny” z PZPN usiłował go do tego zmusić? Do społeczeństwa docierały tylko strzępki faktów. Na towarzyski mecz z Francją w Paryżu kadre powołał Edmund Zientara. To on zastąpi Piechniczka? Nie, po rozmowie z Marianem Renke, Antek zmienił zdanie i pozostał w PZPN. Dlaczego nie potrafią rozwiązać tej sprawy na zebraniu prezydium lub zarządu PZPN? Opinie o samodzielności i samorządności Związku były zwykłą bajką. Można było odnieść wrażenie, że ta kupa wrzasku wokół reprezentacji miała na celu odwrócenie uwagi społeczeństwa od innych, po stokroć ważniejszych wydarzeń natury politycznej.

Ostatecznie na mecz z Francją pojechali dwaj trenerzy – Piechniczek i Zientara. Skład z konieczności był mocno okrojony, eksperymentalny, bez: Młynarczyka, Żmudy, Bońka, Laty i... Szarmacha. Zientara usiłował ściągnąć na Parc des Princes choćby jednego z nich – Andrzeja Szarmacha, ale „Diabeł” zrażony smutnym dla niego epilogiem wieloletniego romansu z reprezentacją, zrezygnował. Wcześniej rozstanie z kadrami zapowiedział Grzegorz Lato, natomiast Zbi-

gniew Boniek i Władysław Żmuda grali już w zagranicznych klubach. A jednak tak osłabiona reprezentacja pokonała Francuzów 4:0. W znanej paryskiej restauracji „Maxim” podczas pomeczowego bankietu szefostwo francuskiej federacji było wyraźnie zde gustowane:

Po takim laniu trzeba będzie na jakiś czas przerwać kontakty francusko-polskie. Sytuacja polityczna temu sprzyja, bo wciąż trwa u was stan wojenny. To nie jest dobry czas na przyjacielskie spotkania...

Rewelacyjny wynik z Francuzami w „Parku Księżąt” praktycznie zakończył prawie dwunastoletnie pasmo sukcesów „biało-czerwonych”. Nasi trenerzy kuli jednak żelazo póki gorące. Zaraz po zakończeniu rundy jesiennej w Jachrance pod Warszawą zorganizowali kolejną unifikację nauczania gry w piłkę nożną. Dla mnie była to już czwarta z kolei okazja do wzbogacenia wiedzy o futbolu. Najpierw były Chylice (1958), potem Zakopane (1965), Bydgoszcz (1973) i teraz Jachranka (1982). Prym wiodła tu stara trenerska gwardia: Tadeusz Foryś, Ryszard Koncewicz i Wacław Pegza. Dzielnie ich wspierali młodszy Kazimierz Górski, Zbigniew Naglak z WŚFW Wrocław oraz Edmund Zientara i Antoni Piechniczek. Pracowano w czterech komisjach: teorii treningu, współczesnych elementów techniki, taktyki na Mundialu’82 i pracy z młodzieżą.

Tendencje i kierunki rozwoju futbolu opracowała również grupa trenerów – obserwatorów hiszpańskiego Mundialu. Słusznie uznano, że wywalczony tam medal był ponad aktualny stan naszego piłkarstwa. Prasa rozwinęła ten temat, „Piłka Nożna” w publicznej dyskusji „**Jaka jest polska piłka nożna?**”, a redakcja krakowskiego „Tempa” w symposium o podobnej treści „**Do kąd toczy się piłka?**”. Znowu starły się tu dwa różne spojrzenia: optymistyczne oficjalnych przedstawicieli PZPN i krytyczne ze strony mediów. Dość łatwo obroniliśmy tezę, że sukces na Mundialu nie może przesłaniać szarej codzienności polskiego piłkarstwa.

ZAWODOWSTWO? PZPN – TAK! GKKFiS – NIE!

W podobnym tonie na kolejnym Walnym Zgromadzeniu PZPN w kwietniu 1983 roku wypowiedzieli się delegaci. Nawet w sprawozdaniu komisji rewizyjnej pełno było gorzkich słów pod adresem centrali. W czambuł potępiono praktycznie wszystko, poczynając od braku sprzętu i złego stanu boisk, fikcji w wynagradzaniu piłkarzy, a kończąc na dramatycznej sytuacji w szkoleniu i skancerowanej moralności. Starzy trenerzy się wykruszają, a młodzi nie dorównują im pod względem fachowym i etycznym. W sferze polityki transferowej jednak coś niecoś drgnęło. Pojawiły się wzory umów klubów z zawodnikami oraz listy transferowe. Impulsem stała się kolejna na ten temat dyskusja w „Piłce Nożnej” – „*Może zawodowstwo?*”.

Te w miarę racjonalne pomysły zaniepokoiły GKKFiS. U nas zawodowstwo? Wiceprzewodniczący Bogusław Ryba wolał trwać w fikcji i zakłamaniu. Wystosował więc do prezesa PZPN, dra Włodzimierza Reczka oficjalne pismo, w którym ostro skrytykował uchwałę zarządu PZPN w sprawie znowelizowanej wersji „zmiany barw” w I i II lidze i wynagradzania piłkarzy. Przy okazji postraszył, że GKKFiS przeprowadzi kontrolę finansową w tych klubach. Ludzi ze szczytów sportowej władzy najbardziej zabolęła wysokość (21 ówczesnych milionów) transferu Dariusza Dziekanowskiego z Gwardii Warszawa do Widzewa Łódź. Romans „Dziekana” z Widzewem nie trwał jednak długo. Publicznie oznajmił, że „nie odpowiada mu łódzki klimat” i przeniósł się do Legii Warszawa.

Kontrolę w klubach przeprowadzono, ukarano „za niegospodarność”: Widzew Łódź, Lecha Poznań, Cracovię, ŁKS, Motor Lublin i Pogoń Szczecin. Wobec jedenastu klubów zapowiedziano też wstrzymanie stypendiów i zakaz wyjazdów zagranicznych. PZPN stanął w obronie ukaranych, starał się przekonać wszystkich zainteresowanych, że nowa polityka w sprawie transferów jest wy-

rażnym krokiem naprzód, daje realną możliwość tworzenia silnych klubów i likwidacji „lewych kas”. Jest więc uzasadniona szkoleniowo, finansowo i moralnie. Sugestie GKKFiS zawarte w liście do PZPN w Alejach Ujazdowskich 22 uznano za „**cofanie piłki nożnej z właściwej drogi**”. Opinia publiczna poparła Związek, a prezes Widzewa – Ludwik Sobolewski po prostu uznał decyzję Głównego Komitetu za kłócaącą się z rzeczywistością i odrzucił nałożoną karę. Nie ukrywając satysfakcji, poinformował mnie, że podobnie jak inne kluby, jego Widzew ma osobowość prawną, ważny statut, jest samorządny, prowadzi gospodarkę finansową w oparciu o własny regulamin i stosowne uchwały. „Doradców” z zewnątrz nie potrzebuje. Chodziło mu po głowie „wyrwanie” ligi spod kurateli GKKFiS i PZPN. W tamtych czasach? Marzyciel.

Nie każdy z ukaranych klubów tak odważnie i jednoznacznie wyłożył swoje racje. Widzew mógł, bo właśnie w roku 1983 (większość tych spotkań widziałem na własne oczy), eliminując kolejno Hibernians La Valletta, Rapid Wiedeń i Liverpool FC (!), jako druga z polskich drużyn (wcześniej w roku 1970 uczyniła to Legia) awansował do półfinału Klubowego Pucharu Mistrzów Europy. Tu przegrał dopiero z Juventusem Turyn, w którego barwach grał już wówczas Zbigniew Boniek. A co z reprezentacją?

Nadal kursowało pojęcie „priorytet reprezentacji”. Zwłaszcza w latach mistrzostw świata, Europy i Igrzysk Olimpijskich przypominano, że drużyna narodowa jest „wizytówką całego polskiego piłkarstwa”. Na linii kluby-reprezentacja obowiązywał wówczas swoisty gentlemen's agreement. W latach siedemdziesiątych zaowocowało to medalami olimpijskimi i mistrzostw świata. Jednak w rozgrywkach na kontynencie europejskim nie zdawało to egzaminu. Wkrótce po udanym Mundialu w Hiszpanii rozpoczęły się kolejne gry eliminacyjne o mistrzostwo Europy. Przerwiemy wreszcie te „niedostępne bariery”? Szansa była, ale się zmyła, gdy za namową działaczy PKOl nasz Związek największy-

mi przywilejami obdarzył drużynę olimpijską. Finał tej zabawy? Dwa niewypały! W publikacji książkowej „**Droga do Meksyku**” Stefan Grzegorzczak i ja ubolewaliśmy nad brakiem wyobraźni twórców tego pomysłu.

...Chcielibyśmy być dobrze zrozumiani. Nie negujemy zadań, potrzeb i dobrego klimatu dla wszystkich reprezentacji, ale jeszcze raz podkreślamy, że we współczesnym piłkarstwie światowym najważniejsza jest drużyna narodowa. Ekipy młodzieżowe i olimpijskie, takie są twarde prawa wyczynu sportowego i naturalnego awansu, zawsze służyły i służyć powinny pierwszej reprezentacji. Należy uszanować tę nadrzędną rolę.

Czy ktoś wziął sobie do serca te życzliwe uwagi? W PZPN-ie potraktowano drużynę olimpijską jako cel sam w sobie. Chuchano nań i dmuchano, mimo to przepadła w eliminacjach. W grach o mistrzostwo Europy Polacy walczyli w jednej grupie z Finlandią, Portugalią i ZSRR. Tu też nic nie wskórali. Powoli zaczynała się rozpadać trzecia drużyna świata. W meczu z Portugalią w Lizbonie z „hiszpańskiego” składu pozostali tylko: Majewski, Janas, Buncol, Boniek i Dziuba. Wiosną 1983 roku wrócili do drużyny: Młynarczyk, Kupcewicz, Ciołek i Smolarek, ale pomogli Piechniczкови tak, jak umarłemu kadzidło. Jeden z najgorszych sezonów w całej historii naszej reprezentacji!

Pięć spotkań bez zwycięstwa, tylko trzy remisy: z Finlandią, ZSRR i Rumunią oraz dwie przegrane w Moskwie – z ZSRR 0:2 i z Portugalią we Wrocławiu 0:1. Przykre wspomnienia. Na Łużnikach dobrze zagrał tylko Zbigniew Boniek, mimo że – oprócz reprezentacji – w barwach Juventusu miał na głowie finał Klubowego Pucharu Europy. Mógł odczuwać nadmiar futbolu, ale w Moskwie – choć „przemęczony” – znowu był najlepszy. W pojedynkę jednak niewiele mógł zdziałać. Co się stało z trzecią drużyną świata? Zbliżał się czas pożegnań. Rozstaliśmy się też ze Stadionem Dziesięciolecia. Powoli stawał się największym bazarem środkowej Europy.

W roku 1983 już nikt nas nie podziwiał i nie zapraszał na mecze towarzyskie. Nie ta jakość gry i nie ta forma większości zawodników. Krajowcy bimbalili czy byli źle szkoleni? Chyba jedno i drugie. Na tle rzeńskiego Bońka przypominali człapiące chabety. Zbyszek niemal zaraz po przylocie z Turynu wybiegł na mecz w Moskwie i... na tle większości naszych ligowców był prawdziwą perłą wśród sztucznej biżuterii. Po 2:0 z Polską i wcześniejszej wygranej z Portugalią aż 5:0, awans „sbornej” do finałów mistrzostw Europy wydawał się być pewny. Kierownictwo naszej ekipy już składało zwycięzcom gratulacje i życzyło powtórki z historii z 1960 roku. Wtedy właśnie na Parc des Princes w Paryżu Lew Jaszyn i Nikita Simonian, z którymi rozmawiałem po kolejnej naszej wpadce na Łużnikach, wywalczyli mistrzostwo Europy.

– Pamiętam tę naszą radość w Parku Książąt – rozczulał się Jaszyn. – W finałowym meczu z Jugosławią dobrze bronilem...

– Ale tym razem we Francji jeszcze nie jesteśmy – przerwał te wspominki Simonian.

– Jak to, nie?! – zdziwił się doktor Henryk Soroczko, wreszcie towarzyszący naszej ekipie w wyprawie do Moskwy.

– Ano, tak to – wyjaśnił Nikita. – Czeka nas jeszcze rewanż z Portugalią w Lizbonie...

– To małe piwo!... Jesteśmy lepsi, niedawno w Moskwie było 5:0 – chełpił się Jaszyn. – Poza tym Polacy nam pomogą. Grają przecież z Portugalią u siebie...

– Wygramy! Nie ma sprawy... Na pewno wygramy! – zapewniał szef polskiej ekipy, pułkownik Henryk Celak.

Przyjąłem tę deklarację z niemałym zdziwieniem. Minorowego nastawienia nie zmieniły nawet duże stakany „Sybirskiej” i smażony jesiotr. „Nie ma sprawy?...”. Sprawa jednak była, we Wrocławiu przegraliśmy z Portugalią 0:1. Jak to się stało? Podobno „motywacja była”, tylko „po prostu nie szło”, bo... „nie było

zgrania”. Tak to ocenili zawodnicy: Jan Jałocha, Andrzej Buncol i Stefan Majewski, a trener Antoni Piechniczek nie poczuwał się do winy: – „*Mój ewentualny następca nie miałby lepszych wyników*”. Nieoczekiwany finał, „sborna” też się nie popisała, straciła w Lizbonie bramkę z rzutu karnego i do Francji pojechała Portugalia.

Rok stracony dla pierwszej reprezentacji. Nie powiodło się też faworyzowanej drużynie olimpijskiej. Start miała udany, pokonała na wyjeździe Norwegię 1:0. Miłe złego początki... Do jesiennych spotkań „olimpijczycy” przygotowywali się w Kolumbii, Gwatemali i Meksyku. W tej części świata rynek dla naszych reprezentacji był jeszcze otwarty. Podopieczni Waldemara Obrębskiego uzyskali tam kilka niezłych wyników, wygrali między innymi z pierwszą reprezentacją Kostaryki 3:0, a z Kolumbią zremisowali 1:1. PZPN meldował: – „**Plany szkoleniowe zrealizowane**”. Natomiast bardziej dociekliwi działacze pytali: – *Jak to się dzieje, że dla pierwszej reprezentacji świat zamknięty, natomiast dla olimpijskiej otwarte nawet republiki bananowe?. Tu też w grę wchodzi polityka?*”

Mocno hołubieni „olimpijczycy” przegrali najważniejszy mecz z NRD 1:3. Relacjonowałem przebieg tego nieudanego spotkania dla „Piłki Nożnej”, a red. Mirosław Skórzewski dla „Przeglądu Sportowego”. Miny mieliśmy nietęgę, złość z niepowodzenia na boisku przenieśliśmy na papier. Z Karl-Marx-Stadt (Chemnitz) do Berlina wracaliśmy pociągiem. To dość długa podróż. Na przesiadywanie w wagonie restauracyjnym nie mieliśmy ochoty, woleliśmy pograć w karykę. To chorobliwa zabawa. Nadal obowiązywała stara umowa: gramy tak długo, dopóki któryś z nas nie wygra trzech kolejnych partii. Marzenie ściętej głowy. Nawet w Berlinie nie zapadło rozstrzygnięcie.

Naszym zaciętym pojedyńkom przyglądali się podróżni, w tym spora grupa radzieckich żołnierzy. Nie kapowali o co chodzi w tej grze, ale cały czas oczy mieli wlepione w karty. Zafascynowała ich nasza determinacja i... żelazna kon-

dycja. Było ciepło, początek września, już pot nas oblewał, gardło zasychało, a my nie mieliśmy pod ręką nawet kropli wody. Sołdacy nam współczuli. Co jakiś czas któryś z nich biegł do bufetu po piwo i stawiał przed nami. I tak dotarliśmy do Berlina. Wieczorem byliśmy na proszonym przyjęciu. „Wyborowa” lała się strumieniami. Rano, mocno skacowani, ledwo zdążyliśmy na samolot do Warszawy.

Nieco lepiej niż reprezentacje spisały się drużyny klubowe. Na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych naszymi drużynami „eksportowymi” były Górnik Zabrze i Legia Warszawa. Zaraz po początku „osiemdziesiątych” bliskich zaszczytów był Widzew Łódź, chrapkę na wdarcie się do europejskiej elity miał też Lech Poznań. Łodzianie już w roku 1980, wtedy jeszcze z Młynarczykiem, Żmudą i Bońkiem, w dwóch pierwszych rundach Pucharu UEFA wyeliminowali Manchester United i Juventus Turyn (!). W trzecim podejściu padli pod ciosami Ipswich Town, ale właśnie w roku 1983 powtórzyli osiągnięcie Legii sprzed 13 lat, dotarli aż do półfinału Pucharu Mistrzów. Wprawdzie z Rapidem Wiedeń na wyjeździe przegrali 1:2, a z Liverpoolem 2:3, to jednak wyższe zwycięstwa uzyskane w Łodzi, zapewniły Polakom awans właśnie do półfinału KPME.

Wygrana w ćwierćfinale z Liverpoolem i to w marcu, miesiącu dla naszych drużyn niezbyt korzystnym, zrobiła wrażenie na rywalach z półfinału. Znowu Widzew kontra Juventus! Gwiazdy z Turynu oblał strach, wszak niedawno Widzew wygarbował im skórę. Ale wtedy w Łodzi grał Boniek, teraz jest w Juventusie, to może zadecydować o końcowym wyniku. Od początku byłem tu pesymistą. Kawiarniani „znawcy przedmiotu” przyjęli to z oburzeniem. Oni kierowali się „chciejstwem”, ja realiami. W Łodzi Widzew zremisował 2:2, w Turynie przegrał 0:2. Dlaczego tak się stało? Dość szczegółowo wyłuszczyłem to na łamach „Piłki Nożnej”. Piłkarzy pochwaliłem, ale klimatu tamtych lat – już nie. Nie było twórczej atmosfery, czas „propagandy sukcesu” już dawno się skończył, a stan wojenny jeszcze trwał.

Regres się pogłębiał. Trener Piechniczek był rozżalony, bo praktycznie za wszystkie niepowodzenia piłkarzy, w klubach i reprezentacji, hurtem jego obciążano. Tłumaczył się jak tylko potrafił, ale brak było w tym merytorycznych podstaw i konsekwencji. Twierdził na przykład, że w eliminacjach mistrzostw Europy tylko w meczu z ZSRR w Moskwie byliśmy słabsi, natomiast w pozostałych spotkaniach dorównywaliśmy rywalom. Dlaczego więc przegraliśmy oba mecze z Portugalią i zremisowaliśmy w Warszawie ze słabą Finlandią? Niegdyś były to dla nas „małe płotki”.

Tłumaczono te wpadki „zmęczeniem materiału” i odprężeniem po grze na Mundialu w Hiszpanii. Ale nie były to jedyne i najważniejsze przyczyny. Źle pracowano w klubach, poza tym większość zawodników z medalowej ekipy już rozjechała się po Europie, niektórzy definitywnie kończyli kariery. Reprezentacja w rozsypce. Dopiero teraz, gdy przegrano turniej olimpijski i eliminacje mistrzostw Europy, zaczęto myśleć o skleceniu drużyny na kolejny Mundial w Meksyku. To był już wyraźnie spóźniony dzwonek. Piechniczek miał wtedy do dyspozycji tylko jednego piłkarza klasy międzynarodowej (Młynarczyk – piłkarz roku 1983) oraz kilku reprezentacyjnej (Kupcewicz, Ciołek, Wójcicki); nie było wśród tych najlepszych, bohaterów Espana’82. Antek łątał powstałe dziury: Krzysztofem Urbanowiczem, Krzysztofem Pawlakiem, Jerzym Wijasem, Waldemarem Prusikiem, Mirosławem Bąkiem, Adamem Kensym i Markiem Ostrowskim. Nie wszystkie próby były udane. „Piłka Nożna” wypromowała jednak Marka Leśniaka z Pogoni Szczecin.

Krajowa mizéria zmusiła do znacznie baczniejszej niż dotychczas – obserwacji naszych zawodników występujących w klubach zagranicznych. Zbigniew Boniek i jego aktualna forma interesowały nas najbardziej. Wszak to niekwestionowany lider reprezentacji! Znaliśmy już rywali w kolejnych eliminacjach mistrzostw świata, to: Albania, Belgia i Grecja. Takie zrządzenie losu odrodziło

nadzieje. W tym towarzystwie można pokusić się o wygraną eliminacji. Poczekamy, zobaczymy. Tymczasem po przegranej Widzewa z Juventusem przenieśliśmy swoje sympatie na zespół „Starszej Damy” z Turynu. Gra tam przecież Boniek i wraz ze swoim przyjacielem Michele Platini wystąpi w finale Klubowego Pucharu Mistrzów Europy.

Rywalem Juventusu był HSV (Hamburger Sport Vevein). Organizację meczu powierzono Atenom. To się dobrze składało. Do niedawna trenerem Panathinaikosu był Kazimierz Górski, teraz znowu – po krótkim pobycie w kraju – pracował w Grecji, konkretnie w Olympiakosie. Miał propozycje z AEK, ale z niej nie skorzystał, ostatecznie – na gorącą prośbę prezesa Stavrosa Dajfasa – zakotwiczył w Pireusie. Olympiakos czyli znane z filmu „**Nigdy w niedzielę**” sympatyczne „**Dzieci Pireusu**”, był dla Kazia kolejnym poważnym wyzwaniem. Od Veselinovicia przejął drużynę po pięciu kolejnych przegranych meczach, pałętającą się w dole tabeli, ale po niespełna pół roku wytężonej pracy doprowadził do mistrzostwa Grecji. Zaczęto żartować, że „*Górskiemu znowu diabeł dzieci kołysze*”...

Finał HSV – Juventus odbył się w końcu maja 1983 roku. Wtedy jeszcze Górski na sto procent nie wiedział czy jego Olympiakos wywalczy mistrzostwo. Dla mnie był to równie atrakcyjny temat medialny jak potyczka duetu Boniek – Platini z „czołgistami z Hamburga”. Zadzwoiłem więc do Kazia, powiedziałem w czym rzecz i zapytałem czy wyjdzie po mnie na lotnisko.

– Oczywiście! Mów tylko kiedy i o której godzinie. Bo w czasie przylotu mogę mieć trening...

Kłopotu nie było, samolot z Warszawy wylądował w Atenach tuż przed północą. Do Aten, w „poszukiwaniu Bońka” i chęci „złożenia mu gratulacji” za zapowiadane zdobycie Pucharu, zjechało wtedy kilku dziennikarzy z Polski. W gościnie u państwa Górskich, obok mnie zatrzymali się red. Zbigniew Dutkow-

ski z „Trybuny Robotniczej” i red. Grzegorz Stański ze „Sportu” Katowice. Pani Marysia, żona Kazimierza gotowa była nam nieba uchylić. Gwarzyliśmy do późnych godzin nocnych. Następnego dnia Kazio całą trójkę zabrał do hotelu „King George” na wystawne przyjęcie. Bankietowała piłkarska Europa.

U nas w kraju bieda aż piszczy, w sklepach wciąż więcej butelek z octem i słoików z kiszonymi ogórkami, niż mięsa, mąki i cukru, a tu stoły pękają pod naciskiem kulinarnych przysmaków. Można jeść i pić bez kartkowych ograniczeń! W towarzystwie Górskiego, bo wszędzie mnie za sobą pociągał, czuję się jak jego prawa ręka. Kazio w gronie piłkarskich notabli z całej Europy jest postacią wyjątkową. Wszyscy go znają, serdecznie witają, padają mu w objęcia, a Grecy – bez względu na sympatie klubowe – po prostu całują. A przy okazji pytają: – „**Kto dziś wygra?**” Przy „whisky and soda” Kazio głośno zdradza swój typ: „**Wygrają Niemcy!**”...

Większość „ludzi z towarzystwa” przyjmuje to z niedowierzaniem. Ja też mam wątpliwości. Z racji sympatii do Bońka i polskich akcentów w tym finale, dusza chciałaby żeby wygrał Juventus, ale rozum podpowiada: – Postaw na HSV! Nie pytałem o radę Pytii delfickiej, zawierzyłem sugestii Górskiego i... własnym przemyśleniom. W wyjątkowo dużym międzynarodowym „totku dziennikarskim” na wynik do przerwy i końcowy rezultat postawiłem 1:0 dla Hamburga. Takich śmiazków praktycznie nie było, zgarnąłem więc prawie całą pulę. Za wygraną kupiłem u kuśnierza Pavlosa Passiasa (dla nas był to po prostu „Paweł”), Greka sympatyzującego z Polakami, dwa kozuszki – dla żony i wnuczki.

Ateńskie media niemile zaskoczyła przegrana „Starej Damy”. Popularny dziennik „Fos” pisał – „*Czołgi z Hamburga zmiażdżyły gwiazdy Turynu...*”, a czasopismo „Ethnos” ubolewało, że „*trener Ernst Happel przechytrzył hataśliwych Włochów*”. Pisano też o „**wielkim skandalu w Atenach**”. Włoska mafia podrobi-

ła i sprzedała 50 tysięcy fałszywych biletów. By jednak „przeciek”. Kontrolę biletów przeprowadzano już na granicy greckiej. Na Stadionie Olimpijskim dla nikogo nie zabrakło miejsc. Mnie Górski usadowił obok siebie w łoży VIP-ów. Jak odebraliśmy ten europejski finał? Zbyt dużo było w nim elementów antyfutbolu, niestety – prezentowanego głównie przez „Dostojną Damę” z Turynu. Na tle tego podstarzałego towarzystwa nasz Zbigniew Boniek tryskał młodzieńczą werwą, był przebojowy i tak naprawdę tylko on jeden łaknął sukcesu.

Goście z Polski i z innych krajów już opuścili Grecję, ja jeszcze na kilka dni zostałem u państwa Górskich. Czekałem na postawienie przez Olympiakos kropki nas „i” w walce o mistrzostwo. Miał o tym zadecydować mecz z Larisą, co za zbieg okoliczności, trenowaną wtedy przez Jacka Gmocha. Trzydzieści tysięcy kibiców oczekiwało na zwycięstwo Olympiakosu i kolejny tytuł mistrza Hellady. Pani Góraska wraz z całą grecką rodziną przygotowała dla Kazia ogromny tort, sporo flaszek wina i... moc kwiatów. Wnuczek Kostas miał złożyć życzenia w języku polskim i na ewentualne pytania dziadka: *Kto ty jesteś?* – odpowiedzieć: – *Polak mały.* – *Jaki znak twój?* – *Orzeł biały...* Dobrze przećwiczył to z babcią Marysią.

Scenariusz rodzinnych uroczystości Górskich i Kafirisów pokrzyżował Jacek Gmoch. Larisa wygrała z Olympiakosem 1:0. Zaskoczony Górski przyjął tę niespodziankę w swoim stylu: – *„Widocznie los tak chciał...”*. Wprawdzie nieco później, ale mistrzostwo i tak trafiło do Pireusu. Prezes Dajfas był wniebowzięty, nazwał polskiego trenera cudotwórcą, a opinia publiczna „profesorem futbolu”. Kibice mieli rację, prezes Dajfas – nie. Cud zdarza się tylko raz... A przecież Kazio ma w greckim dorobku, w Panathinaikosie i Olympiakosie, w sumie pięć tytułów mistrzowskich, trzy samodzielnie wywalczone Puchary Grecji i w czwartym doprowadzenie Kastorii do finału. Jak to osiągnął?